

PRACOWAŁEM W SCHREIBSTUBE

Po kilku dniach pobytu w bloku dziewiątym paręset osób z transportu z Majdanka przeniesiono do innych bloków, głównie do bloku ósmego. Dostało się do niego też kilku lekarzy, między innymi prof. dr Mieczysław Michałowicz z Warszawy. Otrzymałem miejsce na pryczy obok profesora. W wolnych chwilach, zwłaszcza przed snem, rozprawialiśmy o różnych sprawach natury politycznej, a także dla nabrania biegłości w angielskim i francuskim, prowadziliśmy ciche rozmówki w tych językach.

W wyniku przybywania ze wschodu transportów do Gross-Rosen, liczba więźniów ogromnie wzrosła. Powstała więc potrzeba obsadzenia różnych funkcji obozowych. Znajdowały się one dotychczas w rękach Niemców. W transporcie z Majdanka znajdowało się wielu więźniów funkcyjnych, a przede wszystkim lekarzy i medyków. Według zapowiedzi dr Schmidta, lekarza obozowego, przybyli lekarze i medycy mieli zostać obecnie zatrudnieni na rewirze. Potrzebni byli funkcyjni w Schreibstube i w innych zakładach obozowych. Niemcy stanowili w obozie tylko kilka procent i rekrutowali się przeważnie z elementów zbrodniczych i stosunkowo mało inteligentnych. Wobec zwiększenia ilości więźniów nie mogli już przejąć wszystkich stanowisk tak, iż dowództwo obozowe było zmuszone dobierać ludzi i z innych narodowości. Obóz w Gross-Rosen, jak prawie wszystkie obozy koncentracyjne, liczył najwięcej więźniów - Polaków, dlatego też przejęcie niektórych funkcji przez Polaków miało duże znaczenie dla polepszenia doli współrodaków. Zaznaczyło się to później na rewirze. Polscy lekarze i pielęgniarze starali się w miarę swoich skromnych możliwości i z narażeniem nieraz własnego życia, dopomóc cierpiącym i uratować wielu od niechybnej śmierci.

Wielkie usługi na tym polu oddali lekarze tej miary co dr Michałowicz, rektor Uniwersytetu Warszawskiego, światowej sławy pediatra, który mimo swego podeszłego wieku /ponad 60 lat/, z wielką wytrwałością znosił codzienne udręki obozowe i pomagał innym w przetrwaniu. Jemu też udało się zorganizować na rewirze naukowe wykłady dla lekarzy i personelu sanitarnego. Wykładom tym przysłuchiwali się i lekarze Niemcy, którzy chcieli się czegoś nauczyć. Wielką pomoc okazywał więźniom dr Tadeusz Kosibowicz z Będzina dzięki swym niezrównanym zabiegom chirurgicznym. On też był nieraz wzywany do przeprowadzenia operacji i na rewirze SS-mańskim. Aż prawie do likwidacji obozu dzielnie uwijał się na rewirze tacy lekarze jak: dr Stanisław Konopka z Warszawy, dr Jan Nowak, dr Romuald Sztaba, dr Henryk Fischer, dr Glückner /Czech/.

Wraz z objęciem funkcji przez wspomnianych lekarzy, krzyczące o pomstę do nieba warunki na rewirze nieco się poprawiły. Zaznaczyło się to zwłaszcza w drugiej połowie lipca 1944 r., z chwilą odejścia z rewiru kapo Georga Prilla, zamieszanego w mor-

derstwo drugiego starszego obozowego Gottloba Kaisera, którego zwłoki znaleziono wtedy w głębokim basenie pod piątym blokiem. Początkowo podejrzenie padło na Polaków z bloku piątego, później okazało się, że sprawcami zabójstwa byli wysocy funkcjonariusze obozowi, którzy w ten sposób załatwili porachunki między sobą. Paru blokowych i drugi Lagerälteste Eber zostali następnie w początkach września skazani na śmierć przez władze obozowe. Przed powieszeniem zapędzono ich najpierw do kompanii karnej /Strafkompanie/, do której wysyłano niebezpiecznych więźniów na wykończenie. W karnej kompanii szczególnie odznaczał się sadyzm i zwierzęcym okrucieństwem jej kapo Kurt Vogel, bandyta i sutener z Wrocławia. Mało kto z tej kaźni wychodził żywy.

Dowództwo obozu potrzebowało też kilku pisarzy do Lagerschreibstube, sanitariuszy na rewir i tłumaczy. Zgłosiło się nas kilku z Majdanka, między innymi ja, Flitter, Julek Gregorowicz z bratem Stanisławem, Henryk Gacki. Dostać się na jedną z tych funkcji nie było rzeczą łatwą. Praca biurowa i pod dachem dawała duże możliwości pomagania innym kolegom, a zarazem możliwość przetrwania udręk obozowych. Lagerschreibstube mieściła się w bloku dwunastym tuż przy wejściu do właściwego obozu. W pierwszej części bloku znajdowały się biura, a w drugiej za umywalnią, jadalnia i sypialnia dla pracowników biurowych Schreibstube, licznych magazynów i Politische Abteilung. Przeważali Niemcy, półinteligenci, typy zwyrodniałe, homoseksualiści. Oni też wodzili rej i wysługiwali się esesmanom. Trzeba było się mieć przed nimi na baczności.

Kiedy znaleźliśmy się w kancelarii, poddano nas egzaminowi. Musieliśmy się wykazać znajomością dosyć biegłego pisania na maszynie i to tekstów niemieckich. Mnie wzięto jako tłumacza siedmiu języków: niemieckiego, polskiego, francuskiego, rosyjskiego, włoskiego, ukraińskiego i czeskiego. Miałem otrzymać opaskę z wyszczególnieniem powyższych języków. Poddano mnie również egzaminowi z francuskiego, rosyjskiego i włoskiego. Egzamin wypadł pomyślnie, pisanie na maszynie również. Wobec tego rozpocząłem pracę. Mnie i nowo przyjętym kolegom dano nowe pasiaki, buty skórzane oraz czystą bieliznę. Przenieśliśmy się też z czasem na blok dwunasty, to jest blok "prominentów".

Lagerschreibstube była podzielona na dwie duże sale: w pierwszej mieściło się biuro ogólne, ewidencyjne, apelowe, w drugiej - poczta i część tzw. Arbeitsdienst. Na czele Schreibstube stał kapo Bernard Klein /Lagerschreiber/, kupiec z zawodu, odsiadujący długoletnią karę za różne sprawy kryminalne, wielki wygodniś i smakosz, chętnie zjadający przysmaki, najlepsze kęski ofiarowywane /z konieczności/ z paczek przez pracowników biura. Pośredniczył w tym zazwyczaj jego ulubieniec August /Polak/, gońiec Schreibstube, lat 16, obiekt umizgów Kleina i kapo pocztowego, wstrętnego pederasty o twarzy buldoga. Całą robotę w Schreibstube wykonywał i najlepiej się w stosunkach obozowych orientował Józef Doliński, urzędnik pocztowy z Poznania. Zaliczał się on do nielicznych, starych więźniów obozu i nosił nr 31. Był w Gross-Rosen od samego powstania obozu, tj. od r.1940. Ludzi z niskimi numerami można było policzyć na palcach.

Doliński przechodził straszne koleje. Pracował przez dłuższy czas w kamieniołomach, dwukrotnie był muzułmanem, w chwili

aresztowania zostawił w domu żonę i paromiesięcznego syna. Pokazywał mi fotografię dziecka. Tęsknił też za swoimi niezmiernie, Stosunkowo wcześniej dostał się do Schreibstube i to go uratowało. Był pracowity i posiadał duży zmysł organizacyjny. Będąc od początku w obozie, znał jego życie na wylot i orientował się znakomicie w stosunkach obozowych. Za dużo też znał sprawek różnych esesmanów i żył w ciągłej obawie, że sprzątną go pewnego dnia. Na razie był potrzebny. W trudniejszych bowiem sprawach, przy przeliczaniu więźniów w czasie apelu, przyjmowaniu transportów itp., gdy inni w Schreibstube czegoś nie wiedzieli, wzywali Dolińskiego. Rozlegały się też często nawoływania: Doliński, Doliński, Józek! Wo ist Doliński? Jakoś z tym wszystkim umiał sobie poradzić, mimo że nieraz dostało mu się porządnie od Rapportführera. Mając też pewne wpływy w obozie, wykorzystywał je, by nieść pomoc tym, którzy szczególnie byli zagrożeni. Znali go wszyscy w obozie pod popularnym imieniem Józek.

Do starszych pracowników prócz Dolińskiego należał jeszcze Tadeusz Mrozwicz ze Lwowa, uczynny i opiekujący się szeregiem więźniów Polaków spoza Schreibstube. Kartoteki więźniów prowadził dr Łaniewski z Warszawy, w wieku ponad 50 lat, pracowity i sumienny. Przydzielono mnie do działu pod jego kierownictwem. Przypadła mi kartoteka imienna więźniów, podczas gdy kartotekę numerową zajmował się sam Łaniewski.

Statystykę narodowościową prowadził Kamiński z Warszawy, lat 23, student filozofii, który w potrzebie był również tłumaczem języka francuskiego, znał też dość dobrze angielski. Adwokat Czaplicki prowadził dział więźniów, którzy pracując poprzednio w różnych fabrykach lub u bauerów w Niemczech, dostali się do obozu w Gross-Rosen za próbę ucieczki z pracy lub nawet za mniejsze przestępstwa. Pobyt ich w obozie ograniczał się zwykle do kilku tygodni, o ile przedtem nie dostawali się na łono Abrahama. Zwalniano ich po odbyciu wyznaczonej kary i wysyłano do dawnego miejsca pracy. Najwięcej było między nimi Włochów i Francuzów. Dla tej kategorii sporządzono osobną kartotekę imienną. Więźniów tych znajdowało się w obozie stale kilkaset, nosili nazwę Erziehungshäftlinge i lokowano ich w osobnych barakach nr 22 i 23, do których wstęp innym więźniom był surowo wzbroniony.

Pracownikami w Schreibstube, przybyłymi zresztą w transporcie z Majdanka, byli dwaj bracia: Juliusz i Stanisław Gregorowiczowie z Poznania. Juliusz objął z czasem kartotekę po dr Łaniewskim, a Staszek prowadził księgę główną, zawierającą wykaz wszystkich więźniów, którzy przewijali się przez obóz. Z Julkiem Gregorowiczem żyłem się bliżej. Prowadziliśmy często długie rozmowy na różne tematy, snuliśmy plany na przyszłość w wolnej Polsce. Miał on praktyczny zmysł kupiecki i trzeźwo oceniał ówczesne stosunki. Wierzył niezachwianie w ostateczne zwycięstwo nad Niemcami. Ubrojeni w wiadomości wyczytane w gazecie /"Völkischer Beobachter"/ lub usłyszane z radia, udawaliśmy się wieczorem po pracy do dr Kosibowicza, aby z nim, z Krzysztofem Radziwiłłem, Pańczakiem, który był schreiberem przy rewirze i z kilku innymi omawiać zasłyszane nowiny i stawiać horoskopy na przyszłość. Siadaliśmy wtedy na schodkach przed rewirem, albo, przeważnie w niedzielne popołudnie, przechadzaliśmy się między barakami, na tzw. linii A-B.

Przez kilka dni, jeszcze po rozpoczęciu pracy w Schreibstube,

przebywałem w bloku ósmym, gdzie funkcyjnym był Niemiec Kaczyska, okrutnik, znęcający się bestialsko nad więźniami. Męczył więźniów karnymi ćwiczeniami, a ulubionym jego zajęciem było bicie w wątrobę. Pamiętam, pewnego razu dał mi polecenie, abym w czasie pracy nikogo nie wpuszczał do środka. Miałem wtedy czas wolny od pracy w Schreibstube. Polecenie ściśle wykonywałem i maruderów nie wpuszczałem. Ukraińiec ze Stobendienst przechodził obok bloku i chciał wejść do środka. Powiedziałem mu o poleceniu blokowego. Ten jednak z miejsca dał mi siarczysty policzek w twarz, że ledwo utrzymałem się na nogach. Powiedziałem o tym blokowemu Kaczyska, a ten ni stąd, ni zowąd zaczął mnie bić i kopać, choć wiedział, że już pracuję w Schreibstube. Myślałem, że zbliża się mój koniec. W obozie nie wolno było się skarżyć. Kaczyska był wściekły, że na to się odważyłem.

Wreszcie odszedłem od tego sadysty i dostałem się na blok dla pracowników biura. Tam żywot był nieco spokojniejszy. Apel dla pracowników biura był zwykle krótki i odbywał się przed Schreibstube. Jako tłumacz miałem możliwość poruszania się po obozie i musiałem być na każde zawołanie Rapportführera, względnie innych esesmanów. Często rozlegał się głos: Dolmetscher! I wtedy goniłem, by na czas zdążyć. Zwykle też asystowałem przy nadchodzących transportach. Pamiętam jeden taki transport z Zamojszczyzny, sami chłopci, kilka osób zmarło w transporcie. Trupy zawieziono do krematorium. Chodziło o rozpoznanie jednego z nich. Miał to być ojciec jednego z przywiezionych. Rapportführer zaprowadził syna do krematorium dla zidentyfikowania. Kazał mnie, jako tłumaczowi, również iść ze sobą. Znalazłem się więc pierwszy raz w przedsionku krematorium, z którego, jak wiadomo, więcej się nie wychodziło. Syn rozpoznał swego ojca. Pośredniczyłem przy tłumaczeniu. Po rozpoznaniu wróciłem do Schreibstube. Kilkakrotnie byłem, jako tłumacz, przy pojedynczych przesłuchaniach więźniów. Musiałem przypatrywać się zadawanym torturom.

Z końcem sierpnia 1944 r. Rapportführer Eschner przesłuchiwał Rosjanina posądzonego o należenie do tajnej organizacji. Mimo bicia więzień zapierał się. Przesłuchanie trwało dość długo. Rosjanin trzymał się twardo. Rapportführer wściekał się, aż wreszcie wpadł na mnie, że pewnie źle tłumaczę, skoro Rosjanin się nie przyznaje. Zbitego więźnia odesłał do bloku, a mnie z miejsca wyrzucił ze Schreibstube i posłał do pracy do kamieniołomów. Przydzielono mnie do piątego bloku Blockführera Lehmana. Kolejdy ze Schreibstube żałowali mnie bardzo i myśleli o ratunku.

Właśnie dostałem paczkę z domu. Tłuszczem z paczki ułagodziłem trochę kapo Wasyla, pod komendę którego dostałem się w kamieniołomach. Nosilem kamienie, ciągnąłem wózki naładowane kamieniami i szutrem. Cały dzień od szóstej popędzany wciąż przez kapo i Vorarbeiterów pracowałem bez wytchnienia. Pot zalewał mi czoło, ręce puchły, głód skręcał kiszkę. Kapo bił drągami upadających, jednemu z nich wskoczył butami na gardło i dobijał. Strach padł na pracujących. Nie wiedziałem, czy długo uda mi się datkiem z paczki ułagodzić kapo. Wiedział, że byłem w Schreibstube, i to go trochę mitygowało, bo mogłem tam powrócić. A kapowie i blokowi często przychodzili do Schreibstube po różne informacje. Zdawałem sobie jednak sprawę, że praca w kamieniołomach mnie dobija. Na piątym bloku obok mnie na pryczy leżał zakonnik. Poprosiłem o możliwość wypowiadania się. Nocą, kiedy więź-

niowie przeważnie już spali, szeptem się wypowiadałem i otrzymałem rozgrzeszenie. Byłem przygotowany na śmierć, która spotkać mnie mogła w każdej chwili.

/Fragment z opowiadania pt. "Majdanek - Gross-Rosen" wydrukowanego w książce "Muzułman wraca do domu" nakładem KAW w Krakowie 1985/

Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.68.



Krematorium polowe zainstalowane w pierwszych latach istnienia obozu. Później wybudowano krematorium stałe w wielu komorowe. Wysadzono je w powietrze po ewakuacji więźniów w lutym 1945 roku.

W Muzeum na terenie obozu ocalałe polowe krematorium jest eksponatem.

Nr arch. Gross-Rosen 1.4.8.3.



Prochy spalonych więźniów w obozie starannie zebrano i umieszczono w Mauzoleum. Na miejscu krematorium umieszczono tablicę informacyjną.

Nr arch. Gross-Rosen 1.4.6.2.

JAK ZOSTAŁEM KONSERWATOREM CENTRALI
TELEFONICZNEJ W GROSS-ROSEN

13 września 1943r. około godziny 15 przyszła do mnie sekretarka naczelnika urzędu pocztowego w Kaliszu, w którym montowana była centrala telefoniczna międzymiastowa, a także miejska automatyczna i powiedziała mi, że mój szef dyrektor Appenort prosi mnie do siebie. Urzędował on w pokoju znajdującym się nad centralą telefoniczną. Appenort siedział przy swoim biurku. Zauważyłem, że był bardzo czerwony na twarzy. Gdy wszedłem, nie ruszył się z miejsca, milczał patrząc w biurko. Gdy podszedłem do niego usłyszałem za sobą odgłos repetowania rewolweru, odwróciłem się i zobaczyłem gestapowca mierzącego do mnie z pistoletu i wskazującego drugą ręką, abym podniósł ręce do góry. Za mną stanął drugi gestapowiec / w więzieniu dowiedziałem się jego nazwiska: Metzger / i mierzył również do mnie z pistoletu. Obaj podbiegli do mnie i założyli mi kajdanki na ręce.

Gestapowcy zaprowadzili mnie do gmachu gestapo, które znajdowało się na tej samej ulicy około 200 m dalej. W gestapo zaczęto mnie badać. Badanie polegało na zadawaniu mi jednych i tych samych pytań: z kim współpracuję, jakim szyfrem się posługuję itp. Każda seria pytań poparta była odpowiednią ilością razów zadawanych mi po całym ciele. Po pewnym czasie zapytano mnie czy znam Konrada i zaraz zapytano gdzie mieszka. Odpowiedziałem im, że dokładnego adresu nie znam, lecz wiem, że jest w Oranienburgu. Był to mój brat cioteczny aresztowany już w 1939 r. w listopadzie. Nic mi to nie pomogło, a przeciwnie wzbudziło w moich katach jeszcze większą wściekłość. Zaczęto mnie bić z jeszcze większą pasją. Bito mnie po twarzy, po plecach, po nogach i udach, po piszczelach, gdzie popadło. Zmęczeni siedli i zapalili papierosy. Po chwili wyprowadzili mnie do sąsiedniego pokoju. Ustawiono mnie pośrodku pokoju i oświetlono dwoma mocnymi żarówkami. Pod ścianą z prawej strony, patrząc od wejścia, stało około dwudziestu mężczyzn. Byli aresztowani Polacy, o czym jeszcze nie wiedziałem. Gestapowiec oświetlił mnie dwoma lampami i kazał stojącemu pod ścianą kolejno podchodzić do mnie i dobrze mi się przyglądać, a następnie mówić mu czy mnie znają. Żaden z tej grupy nie znał mnie. Następnie oświetlono tych mężczyzn i mnie kazano przyjrzeć się im czy ich nie znam. Powiedziałem, że nikt nie znam i na tym zakończyła się konfrontacja. Po pewnym czasie wyprowadzono mnie do samochodu. Kierowca uprzedził mnie, że jeżeli będę próbował uciekać to mnie zastrzeli. Zawiózł mnie do więzienia, gdzie zostałem umieszczony w celi dla "zugangów" / w gwarze więźniów oznacza to celę, gdzie umieszczano świeżo doprowadzonych więźniów /.

Następnego dnia rano przeprowadzono mnie do celi nr 56 i tam już przebywałem do dnia wywiezienia mnie do Radogoszczy.

Do Radogoszczy przyjechałem po uprzednim, dwukrotnym badaniu

mnie w gestapo. Badania te ograniczyły się w zasadzie do bicia mnie grubym bykowcem i zadawaniu mi tych samych pytań: z kim kontaktowałem się w Kaliszu, kto jest moim zwierzchnikiem w organizacji, kto to jest Konrad itp. Zaprzeczałem mówiąc, że nikogo o takim imieniu nie znam prócz mego ciotecznego brata, który obecnie jest w Oranienburgu. Po takich oświadczeniach posypywały się na mnie zdwojone uderzenia bykowcem.

W więzieniu w Kaliszu przesiedziałem około 3 miesięcy, a potem wraz z grupą około 40 więźniów wywieziono nas pociągiem do Łodzi, a stamtąd przewieziono nas do Radogoszczy. Tu w bramie przywitał nas słynny - jak się potem okazało - "Józio" wraz z grupą swoich pomocników. Bili nas gdzie popadło. Józio bił tych, którzy mieli czapki na głowach, mówiąc: "Jak wchodzisz do kościoła to musisz zdjąć czapkę z głowy". Józio wskazał nam w głębi placu światła w oknach stojącego tam budynku rozkazał: "biegiem do tych świateł". Nie znaleźmy terenu. Biegliśmy oślepieni światłami. Na drodze był dość głęboki dół z resztkami wapna. Oczywiście powpadaliśmy do tego dołu, jeden na drugiego, przy wrzasku Józia i jego asysty. Po wygramoleniu się z dołu szybko poszliśmy do świateł. Okazało się, że jest to lokal biurowy, więc Józio posługując się epitetami w rodzaju: "wy skurwysyny, toś tu do biura przyszli, won stąd", kazał nam stanąć przed obok stojącym budynkiem.

Rano około godziny 9 przyszedł do nas "doktor Mateusz". Nie był on żadnym lekarzem, lecz jak mówili łodzianie, zwykłym, pracującym w pogotowiu lekarskim - łapiduchem. Nie posiadał żadnych studiów, a tym bardziej lekarskich. Był on wyrafinowanym mordercą, dobranym do zbrodniczej pracy z Józkiem. Ten zaś bił i zabijał z pełną satysfakcją. Kalifaktorzy - więźniowie pełniący prace pomocnicze przy segregowaniu więźniów, powiedzieli nam, żeby nie podpaść "doktorowi", bo może się to dla nas źle skończyć. Mateusz zaś zaczął nas "badać". Polegało to na tym że każdy z nas nago i boso, mimo padającego śniegu musiał stanąć przed nim tyłem, pokazując czy nie cierpi na hemoroidy.

W pokoju obok łaźni, kazano nam zostawić związane w tobołek ubrania. W sąsiedniej sali, która nazywała się umywalnią, w jednym końcu były prysznice i długie drewniane koryto. Nad korytem umieszczona była rura, z której lała się woda. Zauważyłem, że Mateusz specjalnie długo "badał" ludzi starszych i mniej sprawnych fizycznie. Stwierdzał np., że więzień ma brudne zęby, lub że w ogóle jest brudny. Oczywiście nie oglądał nikogo tak dokładnie, żeby to stwierdzić. Wystarczyło, że był to człowiek stary lub niedołączny, a natychmiast kazał swoim pomocnikom zająć się delikwentem. Asysta zaś wsypywała proszek do prania w usta więźnia i zwykłą szczerką ryżową myli mu zęby, kalecząc przy tym usta i dziąsła. Więzień w tym czasie leżał w korycie pełnym zimnej wody. Dalej następowało mycie całego ciała, a szczególnie genitalii. Po takiej kąpieli poranieni więźniowie przechodzili dalej, na beton zalany wodą.

Po przebadaniu wszystkich oddano nam bieliznę i ubrania. Oczywiście wszystko było pomieszane, tak że dopiero po godzinie odnalazłem wszystkie moje rzeczy. Po ubraniu się musieliśmy się wziąć za ręce i przebiec do sali głównej. W przejściu stali SS-mani z kijami i bili wszystkich przechodzących. W sali głównej, po przeliczeniu nas, wskazano nam prycze, na których mieliśmy spać. Na środku sali stał tzw. "warsztat". Była to skrzynia wypeł-

niona dużymi kamieniami. Do skrzyni przybite były łaty - jedne pionowo na środku, inne po bokach. W łatach tych wywiercone były otwory, w które wkładano rurki żelazne, tak aby leżący na skrzyni więzień nie mógł się ruszyć. Na tym "warsztacie" odbywały się egzekucje. Głównym wykonawcą egzekucji oczywiście był Józio. Raz we wściekłości wyciągnął rurkę i nią bił więźnia po siedzeniu i nerkach. Minimum było 50 uderzeń, czasami jednak dochodziło nawet do 250 uderzeń. Ja szczęśliwie uniknąłem bicia.

Zwykle mieliśmy następujący porządek dnia. Rano o godz. 6.00 był apel na placu przed budynkiem. Przy wyjściu z budynku czekało już na nas 3 do 6 SS-manów z bykowcami i bili wszystkich przechodzących. Po apelu, gdy wszystko się zgadzało, SS-mani czekali na nas, wracających do sali, częstując nas nową porcją bicia.

W czasie pobytu w Radogoszczy zawieziono mnie jeszcze dwa razy do gestapo na badania. W czasie badań byłem związany "w kij" i oczywiście bity. Bito mnie po całym ciele, nie omijając głowy. Badania w gestapo rozpoczynały się od stwierdzenia, że wiadomo o mnie wszystko i chodzi tylko o moje potwierdzenie winy. Odpowiadałem, że nie jestem zamieszany w działalność którą mi przypisują. Moje stanowcze zapieranie się wprawiało oprawców w jeszcze większe zdenerwowanie i zaczynali mnie wówczas jeszcze bardziej katować. Po badaniach odwożono mnie "suką" /karetką więzienną/ do Radogoszczy.

Życie w Radogoszczy przebiegało bez specjalnych wydarzeń. Rano po opisywanym już apelu, otrzymywaliśmy pajdkę chleba i czarną kawę. W południe "zupkę" wydawaną przez kierownika. Potem następowało mycie betonowej podłogi i oczekiwanie na kolację.

Pewnego dnia Mateusz w czasie kąpieli zapytał mnie czy umiem pisać i mówić po niemiecku, a gdy to potwierdziłem, oznajmił mi, że będę sekretarzem w sali pierwszej. Sekretarzowanie polegało na tym, aby dobrze obliczyć ilość więźniów w całym obozie. Po szczególnie kierownicy podawali stan więźniów w swoich salach, do tego należało dodać więźniów znajdujących się na badaniach w gestapo, ilość przebywających w izolatce, tzn. w szpitaliku więziennym oraz pracujących w mieście przy robotach murarskich wykonywanych dla komendanta obozu. Stan ogólny trzeba było podać na apelu Józiowi za pośrednictwem "chlebokraja". Był to jeden z więźniów krojący i rozdzielający chleb.

W połowie lipca grupę, około 40 więźniów, w której i ja się znajdowałem, wywieziono do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Jechaliśmy do obozu pociągiem osobowym. W każdym przedziale siedziało z nami dwóch SS-manów. Jechaliśmy około 24 godzin. Na miejscu oczekiwali na nas SS-mani z psami. Obóz otoczony był zasiekami z drutu kolczastego na betonowych słupach. Wprowadzono nas na plac apelowy i tam rozdano nam numery obozowe, które miały zastąpić imię i nazwisko.

W pewnej chwili jeden z SS-manów zapytał nas, czy jest wśród nas słaboprądowniec. Zgłosiłem się, dodając, że jestem z zawodu teletechnikiem. Następnie zaprowadzono nas do baraku, w którym spisywano nasze dane i tam jeszcze raz zapisano, że jestem słaboprądowncem. Na tym zakończono dokonywanie ewidencji. Potem było golenie i łaźnia.

Po kilku dniach pobytu w obozie zapowiedziano, że część z nas wyjedzie transportem. Nie powiedziano tylko dokąd. W związku z planowanym transportem nastąpiły pewne przegrupowania na blokach. Część kolegów, z którymi już się trochę zaprzyjaźniliśmy przesu-

nięta została do transportu. Ja również zostałem wyznaczony do transportu i w związku z tym umieszczono mnie w bloku 17, w którym zwykle umieszczano więźniów przeznaczonych do transportu. Kiedy wydano nam obiad i oczekiwaliśmy wymarszu, do bloku wbiegł nasz blokowy i wywołał mój numer. Zameldowałem się. Wówczas podszedł do mnie z innym więźniem i kazał się nam szybko rozebrać i zamienić ubrania. Musieliśmy też zmienić numery. Trzeba je było odpruć i przyszyć do nowych ubrań. Zrozumiałem wówczas, że nawet nie mając igły ani nici, można znaleźć sposób na przyszywanie numerów. Powróciłem więc do swojej grupy kolegów i wśród nich przebywałem już do końca mego pobytu w Gross-Rosen. Ze zmiany tej skorzystałem, bo dostałem lepsze ubranie i buty.

Pewnego razu blokowy wywołał mnie i kazał iść przed blok komendantury, gdzie przyjdzie po mnie ktoś z "Politische Abteilung". Gdy się tam zameldowałem, przyszedł po mnie hauptscharführer Schmerbitz i egzaminował mnie, pytając o wykształcenie, znajomość języka niemieckiego i znajomość systemów central telefonicznych. Po tych pytaniach inny SS-man zapytał ile mam lat. Gdy odpowiedziałem mu, że mam 34 lata, podszedł do szafy stojącej w rogu pokoju i wyciągnął gruby bykowiec. Machając nim wymownie zadał mi powtórnie to samo pytanie. Odpowiedziałem wówczas, że mam 34 lata, dziewięć miesięcy i dwanaście dni. To go widocznie uspokoiło. Powiedział mi, że mam się zgłosić do Hauptscharführera Schmerbitza, a ten wskaże mi co mam robić. Postąpiłem zgodnie z poleceniem i od tego dnia zajmowałem się konserwacją centrali telefonicznej. Było to bardzo dobre zajęcie, zwłaszcza zimą, bo pracę miałem w centrali telefonicznej, a więc w ciepłym pomieszczeniu. Z małymi wyjątkami. Do tych wyjątków zaliczyć należy usuwanie uszkodzeń na liniach napowietrznych sieci telefonicznej. A miałem taki jeden przypadek, który omal nie skończył się dla mnie ciężką chorobą, a może i śmiercią.

Było to zimą 1944 roku. Padał gęsty śnieg i cała okolica była zasypana. Wiał przejmujący wiatr. Termometr wskazywał -20°C . W czasie wichury zerwał się drut linii telefonicznej do mieszkania komendanta obozu. Schmerbitz polecił mi naprawić uszkodzenie linii. Sprawdziłem rodzaj uszkodzenia, wziąłem słupek i torbę z narzędziami i poszedłem w towarzystwie dwóch SS-manów znaleźć miejsce uszkodzenia. Brnąłem po śniegu w lekkich półbutach, a na sobie miałem tylko pasiak. Wiał duży wiatr. Linia przebiegała nad rowem. Musiałem przecisnąć się pod drutami i brnąć dalej w głębokim śniegu. Tak przeszedłem około 2 km.

Dotarłem wreszcie do słupek, na którym wyprowadzony był kabel z budynku. Musiałem wejść na słupek i zbadać linię. Założyłem słupek i zacząłem wchodzić. Im wyżej, tym bardziej dokuczał mi mróz i wiatr. Na rękach miałem rękawice też z materiału takiego jak pasiak, a więc bardzo cienkie. SS-mani ponaglali mnie. Największa trudność okazała się na słupie. Musiałem odkręcić wkręt. Aby go nie zgubić - włożyłem do ust. Stwierdziłem, że drugi przewód był niedokręcony i na tym polegał cały błąd. Ręce miałem zupełnie zgrabiaste i nie mogłem się nimi sprawnie posługiwać. Na domiar złego śrubokręt wylatywał mi kilka razy z rąk. Musiałem więc schodzić na dół, odnajdywać w śniegu śrubokręt i wchodzić na słupek. Pilnujący mnie SS-mani klęli i ponaglali mnie ciągle. Bałem się jedynie by nie spadła mi wkrętka bo w dużym śniegu nie znalazłbym jej i nie mógł bym uruchomić uszkodzonego łącza. Chyba dopiero o godz. 15 naprawiłem uszkodzenie i mogliśmy wracać do

obożu. Dwa dni później dostałem wysokiej gorączki. Nie zgłosiłem tego blokowemu, bo wówczas rozchorowałbym się z całą pewnością. Ci, którzy zgłaszali swoją chorobę odprowadzani byli na "Rewir" tzn. do szpitala, a tam zaczynało się od mycia "häftlinga". Chory musiał iść do umywalni, a tam pomagier blokowego mył go węzłem gumowym zimną wodą. Mycie trwało od 15 do 30 min. W pracy SS-man obsługujący centralkę zauważył moje złe samopoczucie i zapytał co mi jest. Gdy odpowiedziałem mu, że jestem zaziębiony, przyniósł mi w kieliszku kilka kropli jakiegoś lekarstwa. Poleciał mi wypić to zaraz z wodą, w baraku położyć się do łóżka. Szczęśliwie apel się zgodził i mogliśmy pójść do baraku. Położyłem się natychmiast, przykrywając się jeszcze jednym kocem. Była to sobota. Następnego dnia byłem bardzo osłabiony, ale czułem się lepiej. Gdy poszedłem do pracy, ten sam SS-man dał mi jeszcze raz tego samego lekarstwa. Następnego dnia była niedziela i wolno nam było spać do południa. Wykorzystałem to, a po przebudzeniu czułem się znacznie lepiej. Koledzy przynieśli mi coś do jedzenia. W poniedziałek byłem już zdrowy.

Pewnego razu SS-man poleciał mi założyć i podłączyć telefon na balkonie wieży strażniczej, w pobliżu obozowego szpitala, oczywiście za drutami okalającymi obóz. Wziąłem torbę z narzędziami i poszedłem do strażnicy. Na dole zapukałem do drzwi i po chwili usłyszałem kroki schodzącego z góry SS-mana. Wpuścił mnie do środka i wyciągnął rękę do powitania. Odpowiedziałem mu, że jestem więźniem i nie wolno mi witać się w ten sposób. Nie zwrócił na to uwagi, chwycił moją rękę i potrząsnął nią kilkakrotnie, mówiąc "Guten Tag". Weszliśmy do izdebki. Wskazał mi krzesło i poprosił bym na nim usiąść. Następnie wyjaśnił mi, że nie jest SS-manem, lecz służy w artylerii przeciwlotniczej. Zapytał mnie za jakie przewinienie byłem osadzony w obozie. Odpowiedziałem, że i tak nie uwierzy, bo przecież jestem więźniem. Powiedział mi tylko "ach kwacz" i zaczął opowiadać o swoich kłopotach.

Dowiedziałem się, że przedłużył sobie urlop i za karę musi dwa tygodnie służyć jako wartownik w obozie. Nie może patrzeć na to co się tutaj dzieje, a wskazując na okno, na którym leżał chleb, margaryna, miód i kiełbasa dodał: to jest dla Pana, ja nie mogę tu nic jeść. Okno z jego strażnicy wychodziło na szpital obozowy. Opowiadał dalej, że jest żonaty i ma troje dzieci. Dostał właśnie list od żony i dał mi go, abym przeczytał. W czasie czytania usłyszałem szloch, gdy spojrzałem na niego - płakał. Gdy skończyłem czytać zaczął mnie wypytywać gdzie mieszkam, gdzie się urodziłem, czy jestem żonaty, czy mam dzieci. W czasie rozmowy ciągle płakał. Przy pożegnaniu życzył mi, abym wrócił szczęśliwie do żony i dzieci. Poprosił mnie wówczas o obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. Mówił, że jest katolikiem i wierzy głęboko, że jeżeli od więźnia dostanie ten obrazek to przeżyje wojnę i wróci do żony i dzieci. Jego służba w obozie kończyła się w najbliższą środę. Umówiliśmy się więc, że w środę rano przyjdzie do komendantury, w której mieściła się centrala telefoniczna i odbierze ode mnie obrazek.

Wróciwszy do obozu opowiedziałem całe zdarzenie współwięźniowi - księdzu Królowi i jego też prosiłem o obrazek. Ksiądz, nie wiem skąd, ale zdobył zniszczony obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej i w najbliższą środę czekałem na "mego" Niemca. Przyszedł istotnie, niosąc ze sobą dużą paczkę. Miałem swój warsztat w przed-

pokoju centralki, stała tam duża szafa, na której miałem przymocowane imadło, a w niej narzędzia. Obok szafki na ścianie przymocowany był telefon. Gdy wszedł, zamówił sobie jakąś rozmowę. W tym czasie podsunąłem mu obrazek zawinięty w jakiś papier, a on położył na szafce paczkę. Kiwnęliśmy sobie nieznacznie głowami, żegnając się ze sobą. Paczkę natychmiast schowałem do szafki. Na samym wierzchu był list. Przeczytałem go w ubikacji i natychmiast zniszczyłem. Po południu w czasie, gdy odjeżdżał, udało mi się przechodzić koło miejsca, gdzie czekał transport. Zobaczyliśmy się z daleka i nieznacznie kiwnąwszy sobie rękami pożegnaliśmy się na zawsze. Nie pamiętam jego nazwiska i nie wiem czy przeżył wojnę.

W listopadzie lub w grudniu 1944 roku przypędzili do obozu kobiety z Oświęcimia. Wyglądały strasznie. W pasiakach lub cywilnych ubraniach, sine od mrozu, skulone z zimna dreptały by rozgrzać zmarznięte nogi. Gdy tylko prowadząca je blokowa nie widziała, rzucaliśmy im chleb i papierosy. Musieliśmy bardzo uważać, bo gdy blokowa to widziała, biła biedaczki pejcem. Po paru tygodniach kobiety wywieziono.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Komendant obozu w drodze łaski pozwolił każdej narodowości urządzić jakiś występ - przedstawienie. Niemcy wystawili sztukę napisaną przez Niemca, o ile dobrze pamiętam spikera radia berlińskiego, Czesi - śpiewali, ale najładniejsze było przedstawienie polskie.

Przedstawienie zrobiło wówczas na mnie, a pewnie i na moich kolegach ogromne wrażenie. Wydawało nam się, że wróciliśmy do swych domów rodzinnych, znaleźliśmy się wśród najdroższych nam osób. Przedstawienie powtarzane było cztery razy. Ostatni raz na wyraźne życzenie komendanta obozu, który nie mógł zrozumieć dlaczego wywołuje ono takie wrażenie na Polakach.

Pod koniec grudnia lub na początku stycznia dowiedzieliśmy się o ewakuacji obozu. Kazano nam ustawić się piątkami na placu apelowym. Nastąpiła biegania, lecz w tym dniu nie wyprowadzono nas z obozu. Dopiero w kilka dni później wymaszerowaliśmy za bramę. Maszerowaliśmy drogą do stacji kolejowej. Zaraz za obozem, SS-man prowadzący kolumnę zatrzymał nas, wywołał więźnia kulejającego, z laską i zabił go strzałem z rewolweru w głowę. Była to pierwsza ofiara ewakuacji.

Doszliśmy do dworca kolejowego około godziny 16.00. Tego jednak dnia pociąg nie nadjechał. Wróciliśmy więc do obozu w kolumnach, bez podziaku na bloki.

W bramie przeliczono nas i kiedy stwierdzono, że stan ilościowy się zgadza, zaczęto rozdawać zupę. Wraz z Jankiem Janickim pobiegliśmy do kuchni i przynieśliśmy pełen kocioł zupy mlecznej. Zatrzymaliśmy się w bloku 10, bo był całkowicie pusty. W całym obozie był gwar.

Wtem usłyszeliśmy warkot samolotu. Był to radziecki dwupłatowiec. Sądziliśmy z Jankiem, że możemy swobodnie wyjść z baraku, bo zamierzaliśmy zawołać naszych przyjaciół do zdobytej zupy. W czasie, gdy przechodziliśmy obok bloku 5 w kierunku drogi obozowej, z samolotu wystrzelono kilka serii z karabinu maszynowego. Padliśmy na ziemię i przeczekaliśmy, aż samolot poleciał dalej. Na szczęście nikomu z nas nic się nie stało.

Następnego dnia wyruszyliśmy znowu na stację kolejową. Szliśmy jednak już nie zorganizowanymi blokami, lecz dowolnie, tak jak ustawiły się piątki. Wyjechaliśmy pociągiem, gdy już było ciemno.

Wagony, które podstawili dla nas - były to węglarki. Przytuleni jeden do drugiego, opieraliśmy się o ścianę wagonu. SS-mani pilnowali, by który nie próbował ucieczki. Mimo to próbowano ucieczek, bo od czasu do czasu słychać było wystrzały. Jechaliśmy wśród lasów, przez szereg tuneli. Po wielu godzinach zatrzymaliśmy się w Plauen. Tutaj SS-mani kazali usunąć zwłoki zmarłych lub zabitych. Przy usuwaniu zwłok SS-mani dobili jeszcze kilkunastu słabych więźniów. Zwłoki ułożono na peronie. W Plauen podzielono więźniów na dwie grupy. Jedna grupa pojechała do Hersbruck, gdzie było komando obozu Flossen-burg, a druga do jakiegoś obozu na terenie Czechosłowacji.

Po przyjeździe do Hersbruck wysiedliśmy na dworcu lub jego bocznicy. Błoto sięgało nam prawie do kolan. Brnęliśmy w tym błocie aż do placu apelowego. Tam nas podzielono na grupy i kazano pójść do baraków obozowych. Dostaliśmy tu po jednej chochli rzadkiej grochówki, jej zaletą było jedynie to, że była gorąca. Pijąc tę zupę czułem rozchodzące się po całym ciele ciepło. Zaraz też, mimo sytuacji w jakiej się znajdowaliśmy, rozpoczęły się rozmowy i nastąpiło jak gdyby odprężenie.

Następnego dnia powiedziano nam, że pojedziemy do Norymbergi naprawiać tory kolejowe. Naprawa polegała głównie na usuwaniu z nich gruzów, a mnie jako elektrykowi kazano związać druty jezdne, których rzeczywiście było mnóstwo. Praca nie była, ani trudna, ani nie wymagała wielkiego wysiłku. Niebezpieczeństwo polegało jedynie na tym, że na dworcu leżało mnóstwo niewypałów. Szczęśliwie nie mieliśmy żadnego wypadku.

Do Norymbergi dowożono nas codziennie pociągiem i mieliśmy okazję widzieć zniszczenia okolic, przez które przejeżdżaliśmy. Miasto było kompletnie zrujnowane. Pewnego dnia, gdy zaczęliśmy pracę nadleciały samoloty aliantów i zaczęły zrzucać bomby. Samoloty nadlatywały dużymi grupami. Obrony przeciwlotniczej nie słyszeliśmy zupełnie. Bombardowanie trwało dwa dni i dwie noce bez przerwy.

Po tym bombardowaniu zaczęto nas wozić pod Norymbergę i tam pieszo doprowadzano nas na miejsce pracy. W czasie jazdy skracaliśmy sobie czas opowiadaniem własnych przeżyć lub interpretowaniem istniejącej sytuacji.

Pewnego razu jechaliśmy pociągiem inną drogą niż dotychczas. Pozwoliło to nam snuć radosne wnioski, że Niemcy skapitulowali i dlatego nas wiozą w stronę wschodnią, abyśmy mieli bliżej do Polski. Niestety, już po kilkunastu minutach okazało się że jesteśmy w błędzie. Znaleźliśmy się znowu w Hersbrucku. Następne dni nie różniły się od siebie. Rano pobudka, potem wyjazd do pracy itd. Aż pewnego dnia rano, a było to 5 lub 6 marca ustawiono nas na placu piątkami w kolumny po około 80 osób, rozdano nam po bochenku chleba i popędzono w drogę do Dachau.

Pierwszego dnia uszliśmy około 5 km. Zatrzymaliśmy się na nocleg nad strumieniem. Spaliśmy na gołej ziemi. Rano w czasie apelu stwierdzono, że brak jest jednego więźnia. SS-mani rozpoczęli poszukiwania i pościg. Około południa niestety złapano zbiega, okazało się, że był to Rosjanin. Przyprowadzono go do całej grupy i na naszych oczach rozstrzelano. Wywarło to na nas wszystkich okropne wrażenie. Był to niestety początek stałych egzekucji, które nam towarzyszyły przez cały czas wędrówki do Dachau. Ci, którzy nie mogli iść z powodu osłabienia, lub chcieli za potrzebą odejść na stronę, byli zabijani strzałem w tył głowy, a SS-man

zapisywał tylko ich numer. Na końcu każdej kolumny szła grupa więźniów-grabarzy, których przed dojściem do Dachau również zastrzelono.

Po następnych dniach marszu zatrzymaliśmy się przy zagrodzie na dość obszernej polanie. Stała tam stodoła, do której kazano nam wejść. Staliśmy tam, nie mogąc usiąść, bo nie pozwalał na to capo z obozu z Gross-Rosen. Był to kryminalista, o czym świadczył jego zielony trójkąt. W Gross-Rosen pełnił funkcję capo przy obieraniu ziemniaków.

Staliśmy wyczerpani i zmęczeni do ostatnich granic. W pewnej chwili spojrziałem w górę i stwierdziłem, że pułap jest ułożony z równych desek. Po chwili wspinałem się już po belce podtrzymującej pułap, a Janek pomagał mi jak mógł. Gdy obaj już znaleźliśmy się na górze, ja prawie natychmiast zdjąłem buty i usnąłem. Przez sen tylko słyszałem jak Janek pytał mnie o szalik. Z szalika zrobił torebkę, a w nią nasypał pszenicę, którą znalazł. Rano okazało się, że jest nas na górze dość dużo, a capo szykuje się aby rozliczyć się z nami, wydało się bowiem, że mamy pszenicę. Trzymając w ręku gruby kij, kazał nam kolejno zeskakiwać. Pierwszemu koledze kazał wysypać pszenicę, a gdy ten wysypał małą garstkę na klepisko, capo uderzył go z całych sił kijem. Więzień uskokczył w bok i skrył się wśród innych. Obserwowałem tę scenę i zastanawiałem się jak uniknąć bicia. Oczekałem aż następny więzień wysypywał ziarna pszenicy a SS-man robił zamach by go uderzyć, zeskoczyłem ze strychu i uskokczyłem w bok, kryjąc się wśród innych. Tak uniknąłem bicia. Janek, gdy zeskoczył pokazał capo małą garstkę, a że w obozie był zatrudniony u krawców i często cerował skarpetki capo, ten go nie uderzył. Tym razem udało się nam wyjść z opresji.

Zdobytą pszenicę ucieraliśmy na dwóch kamieniach i tak rozniecione ziarno gotowaliśmy w naszych dołkach. Po ugotowaniu trzeba było trochę odczekać, aż kamienie i piasek opadną na dno i wtedy zabieraliśmy się do jedzenia. Na nasze schorowane żołądki kleik ten był bardzo dobrym lekarstwem.

Po dwóch dniach znowu ruszyliśmy dalej. Szliśmy bruzdą między zagonami i mniej więcej w połowie zagonu trzeba było skręcić w lewo. Idąc, słyszałem strzały, ale nie zwracałem na nie uwagi. Dopiero gdy doszedłem do rowu oddzielającego pole uprawne od drogi zobaczyłem w rowie ciała może pięciu więźniów z rozplatanymi głowami. Jeden jeszcze drgał. Na przeciwnym brzegu rowu stali wyżsi oficerowie SS. Mieli pistolety w rękach i to oni strzelali do tych, którym nie udało się przeskoczyć rowu. Starłem się tak skoczyć, by nie nadepnąć żadnego ciała. Nie wiem jak mi się to udało. Gdy znalazłem się na drodze szybko dołączyłem do grupy 10 więźniów i stanąłem w trzeciej piątce. Oszołomiony tym co widziałem, zdawałem sobie sprawę, że gdybym się potknął podzieliłbym los moich zabitych kolegów. Po chwili utworzyła się kolumna i pomaszerowaliśmy dalej.

Po pewnym czasie doszliśmy do wioski. Zatrzymaliśmy się w zagrodzie i stanęliśmy pod ścianą stodoły. Przed nami zgromadził się tłumek gapiów. Po chwili z chałupy wyszedł stary gospodarz i widząc leżących na kupie słomy ludzi, sądził prawdopodobnie że są nieżywi, zdjął z głowy kapelusz, przeżegnał się i zaczął się modlić. Po jakimś czasie wyniesiono z domu pełny parnik ziemniaków i rozdzielono między nas. Był to chyba przykład dla innych gospodarzy, gdyż po godzinie ukazał się inny gospodarz wiozący

na taczce trzy worki ziemniaków i pokazujący, że to też dla nas. Otrzymaliśmy więc po jeszcze jednej porcji ziemniaków. Był to dla nas jeden jasny dzień w naszym ponurym istnieniu.

Następnego dnia ruszyliśmy dalej, prowadząc ze sobą grupę skaniających się kolegów. Nie wszyscy oni dotarli do Dachau. Ten kto nie mógł iść dostawał kulę w tył głowy. Po kilku kilometrach dotarliśmy wreszcie do Dachau..

W Dachau przede wszystkim zważono nas, zapisano nasze personalia i skierowano do baraków. Następnego dnia otrzymaliśmy numery. Ja otrzymałem numer 161019. Janek miał następny.

Z Hersbruck wychodziło nas około 4.800 więźniów, a do Dachau przyszło 1.723. Reszta zginęła w drodze.

W Dachau umieszczono nas w bloku nr 21. W bloku 19 mieszkała grupa Duńczyków. Po kilku dniach znaliśmy się już mniej więcej program dnia. Rano pierwsze pożywienie otrzymywaliśmy w zależności od fantazji blokowego między 8-30a 12 godz. Była to zwykle kawa i przez cały czas pobytu w Dachau 100 gramów chleba. Obiad również w zależności od fantazji blokowego między godz.14 a 20 lub później, ćwierć litra zupy, którą /jak mówili koledzy/ można było wypić nosem. Poza tym nie otrzymywaliśmy nic więcej do jedzenia.

W izbie, w której przebywaliśmy prawie cały dzień, w tzw. "tagesraum", mieszkało nas około 300 osób. Siedzieliśmy cały dzień na podłodze wychwytyjąc wszy, których mieliśmy mrowie. Nie kąpaliśmy się wówczas wcale. Cały ten okres w Dachau był okresem trwania. Cała moja uwaga i prawdopodobnie moich kolegów skupiona była na tym, by nie narazić się blokowemu i jeśli się uda, zdobyć coś do jedzenia. Pewnego dnia dowiedzieliśmy się że wytransportowano grupę około 2000 Rosjan. Dokąd nikt nie wiedział. Po kilku dniach dowiedziałem się, że wywieziono 1000 Żydów, innym razem, że znowu 2000 Rosjan. Czy te wieści były prawdziwe, nie wiem. Krążyły bowiem plotki. Ja wraz z Jankiem postanowiliśmy uciekać pierwszej nocy gdy nas wywioza. Zdawaliśmy sobie sprawę, że w takim stanie w jakim obecnie jesteśmy, nie ujdziemy daleko z grupa. Zginąć więc od kuli SS-mana przy drodze, czy w czasie ucieczki - znaczyło to samo. Żyliśmy z dnia na dzień, zdając sobie sprawę, że każda przespana noc może być ostatnią w naszym życiu. Tak mijały dzień za dniem, aż przyszedł dzień, którego nie spodziewaliśmy się.

Rano zobaczyliśmy na wieży strażniczej białą chorągiew. Sądziliśmy więc, że to już upragniona wolność. Wyszliśmy na plac okalający barak, lecz okazało się to złudne, a z wież posypał się grad kul. Niemcy strzelali wprawdzie po dachach, ale na wszelki wypadek pochowaliśmy się w barakach. Przed wieczorem, a było to 24 kwietnia 1945r., siedziałem w "tagesraumie" i przez okno zobaczyłem idącego ścieżką między murem a zasiekami z drutu żołnierza. Był ubrany w zielony mundur, furażerkę miał złożoną pod paskiem, na piersiach zwisał mu automat. Wybiegliśmy z baraku machając do niego rękami. Żołnierz pokiwał nam rękami i kazał SS-manowi zejść z wieży strażniczej. SS-man zszedł z rękami podniesionymi do góry. Karabin rzucił na ziemię, wypchany plecak również. Gromada więźniów przedostała się przez fosę i podbiegła do Amerykanina. Żołnierz odebrał jeszcze rewolwer SS-manowi, przeszkukał plecak i chlebak i kazał iść SS-manowi na przód. Gdy ten odszedł kilka kroków - zastrzelił go. Postanowiliśmy z Jankiem iść pod bramę obozu. Gdy doszliśmy do placu apelowego, ujrzeliśmy masę więźniów gromadzących się obok wejścia. Na wieży

powiewała biało-czerwona flaga. Obok były również flagi innych narodowości.

Obok w oknie budynku tuż przy wejściu siedział z mikrofonem w rękę sprawozdawca radiowy. Prawdopodobnie relacjonował co się dzieje w obozie. W pewnej chwili Polacy, a była nas duża grupa, zaczęli śpiewać "Jeszcze Polska nie zginęła", a potem inne pieśni narodowe i religijne. Do obozu zaczęli wchodzić żołnierze amerykańscy. Było ich niewiele. W całym obozie panował chaos, załoga obozu jeszcze się broniła. Świsł kul, wystrzały karabinowe mieszały się ze śpiewami różnych narodowości.

W pewnym momencie ujrzelśmy następujące wydarzenie. Do wchodzącego wysokiego i dobrze zbudowanego żołnierza podbiegł młody więzień i chwyciwszy go za rękę pocałował. Amerykanin spieszył się bardzo, wyjął coś z kieszeni na piersiach i dał chłopcu. Chłopiec jeszcze dziękował, a my obserwujący to wydarzenie krzyknęliśmy: "w górę go" i chwyciliśmy za ręce. Nieśliśmy go, choć sami byliśmy bardzo słabi. Amerykanin szybko nas jednak rozsunął i skoczył na ziemię. Panowała powszechna radość. Z Jankiem chwilami patrzyliśmy na siebie, milcząc, to znów powtarzaliśmy tylko: jesteśmy wolni. Chodziliśmy jak urzeczeni, półprzypadkiem nie wiedząc jak wyrazić nasze uczucia.

Następnego dnia rano przede wszystkim pobiegliśmy do łaźni, żeby pozbyć się choć częściowo wszy. Potem podjechał samochód z kompresorem i proszkiem DDT i dopiero obsypani cali proszkiem teoretycznie pozbyliśmy się wszy. Otrzymaliśmy mydło, a następnie na środku placu ustawiono wielki namiot w którym szczepiono nas przeciwko tyfusowi i innym chorobom zakaźnym.

Przed bramą po stronie wewnętrznej obozu stał amerykański żołnierz i ten również rozdawał na życzenie odpowiednią ilość proszku DDT. Tak mijały nam pierwsze dni wolności.

Przed dniem 3 maja mówiono o uroczystościach. W dniu tym zebraliśmy się na placu apelowym. Najpierw przemawiał generał wojsk francuskich, który wspominał swój pobyt w Warszawie, powiedział że ma żonę Polkę i jeszcze zna kilka słów po polsku. W uroczystościach brał również udział pluton wojsk amerykańskich. Gdy śpiewaliśmy nasz hymn wielu z nas miało łzy w oczach.

W kilka dni później przyjechała do nas łaźnia polowa. Znowu wymyć i wydezynfekowani wsiedliśmy do czekającego na nas samochodu i pojechaliśmy do Freimanu. Były to dawne koszary SS w Monachium opróżnione i wyczyszczone dla nas. Tam urządziliśmy się znacznie wygodniej i mieszkaliśmy do czasu wyjazdu do domu, do Polski.

Gdy w obozie śpiewaliśmy "póki my żyjemy", wydawało mi się że nie mam prawa śpiewać "my", bo coś ja takiego zrobiłem, siedziałem w obozie, w więzieniu i nic poza tym.

Napisałem te wspomnienia dla młodych, potępnych, aby chociaż częściowo zrozumieli, co to znaczy ból i cierpienie. Nr. archiwum Gross-Rosen 4.6.57.